

*Najmilszy,*

niewiele jest dziś rzeczy, które budzą w nas lęk, taki pierwotny, zunifikowany, nagi, tożsamy dla każdego, kto chce nazywać się człowiekiem. Na szczęście została jeszcze jedna istota, która swą obecnością spędza nam sen z powiek – filigranowa kochanka tuląca w ramionach każdego, kto się narodził. Przez nią oswajamy życie, dzięki niej staramy się być ludźmi. I choć błądzimy wciąż wśród mądrości pokoleń, nie zrobiliśmy najmniejszego kroczku, by zbliżyć się do prawdy o niej. Ściskamy w dłoniach krzyże, całujemy je, kreślimy nad głowami, mamimy się nadzieją zmartwychwstania, choć w krzyżu nie dostrzegamy już naszej kochanki. Już nie. A przecież krzyż znaczy śmierć. Nie życie, nie nadzieję, nawet nie ratunek, tylko śmierć. Więc kiedy widzę matkę nad kołyską i sentencję „In hoc signo vinces”, wiem, że pieczę nad nami dzierży nie życie, które tli się wątlym ognikiem, tylko ona – kochanka, na którą wciąż czekamy. Lecz zanim zsunie kaptur i ukaże się nam w swej nagości, wciąż w krzyżu widzimy życie i pewność, że zmartwychwstaniemy. Z martwych wstaniemy. Przekuwamy tętniącą stal naszych wyobrażeń w nóż, którym rozdieramy wątpliwości. Zamieniamy wiarę w pewniki, odkurzamy z pyłu zapomnienia stare dogmaty, ślepniemy. Bardzo brakuje nam pewności, mądrości, rozsądku. Przestaliśmy pytać, zaczęliśmy stwierdzać. A przecież Beksiński nie pozostawia wątpliwości – krzyż znaczy śmierć. Krzyż jest zawsze pusty – nie znajdziesz tam Chrystusa, który zapowiada nadejście swego królestwa. To ty masz zająć na nim miejsce, to na ciebie czeka, byś wisząc na nim mógł spojrzeć na tych, którzy stoją przed tobą. A będąc na nim dołączasz do ostatniej radości, jaką zgotował ci los – tańczysz razem ze swą kochanką, ściskasz ją i całujesz. Wkrótce inni dołączają do was i po chwili stajesz się drobną cząstką rozproszoną między wszystkimi możliwymi światami. Jeszcze tylko krok i krzykniesz za Chrystusem „Noli me tangere!”. I nie zatrzymasz się. Będziesz w ciągłym ruchu, poza czasem i przestrzenią, szarpany przez namiętności i zobaczysz, że nie ma już nic do dodania.

A ja chciałbym w krzyżu dostrzegać nie nadzieję, tylko cień naszej kochanki, co idzie za nami krok w krok. Tego zazdroścę Beksińskiemu, on ją widział, musiał, po prostu musiał... niech więc krzyż umieranie znaczy, a kamień niech będzie kamieniem. Katedry

niech staną się katedrami a najdrobniejsza twoja cząstka niech będzie ogromem wszechświata. Chcę nauczyć się nie mówić a rozumieć, nie patrzeć a dostrzegać i nie słyszeć, lecz słuchać. Ale wrodzony egoizm, który zaczął mnie toczyć, nie pozwala mi na to. Nadal jestem ślepcem, którego oczy pokryte bielmem nie widzą więcej niż same siebie. A przecież skoro krzyż oznacza śmierć a śmierć jest bramą życia, chciałbym móc znów uwierzyć, by przez tę bramę przejść ze spokojem. Wciąż szukam wiary prostej, bez Chrystusa na krzyżu. I ciężko jest uwierzyć, choć trudniej jest żyć bez wiary. Kiedy jarzmo osamotnienia i niewiary zaciska się mocniej, przypominam sobie wędrowca z pochodnią, kroczącego wśród doliny cieni. Widzę w nim siebie trwającego przy tańczącym na pochodni ogniku. Wędrowiec nie dostrzega górujących nad nim postaci – rozpoznaje tylko bezruch odbijających się w świetle pochodni skał. Nie widzi tego, co nad nim i co przed nim. Zgubił swego pasterza, podąża w nieznane. Z biegiem czasu zaczyna dostrzegać, że płomień na jego pochodni jest coraz słabszy. Słabnie powoli, miarowo, z każdym jego krokiem. Zbłąkany próbuje go chronić rozścielając wokół niego namiot swych dłoni. To jednak nie pomaga. I kiedy ognek unosi się ku górze, by ostatecznie spoić się z ciemnością, wędrowiec czuje, że ktoś chwyta go za ramię. Ktoś, kto podążał za nim przez całą tę drogę, a kogo nigdy nie widział. Padają sobie w ramiona i ostatecznie zamyka się krąg zdarzeń zwanych życiem.

*Najmilszy mój synku,*

pytaj, błądź, staraj się widzieć. Nie czekaj. Niech w końcu kamień będzie kamieniem. Żyj!

*Twój ojciec*